

STANISŁAW FILIPOWICZ

Egzorcyzmy i sen o sławie Kilka uwag ogarniętego wątpliwościami humanisty

Czy uczeni mogą trafić do raju? Pytanie to ma charakter nieco drażliwy. Jak pamiętamy, Dante umieścił wielkich myślicieli, obok wielkich poetów, w pierwszym kręgu piekła. Los uwiedzionych przez muzy marzycieli podzielili też ci, którzy nie poddawali się ich urokowi. Obok Homera, „władcy słów harmonii”, spotykamy zatem „Ptolemeusza oraz Euklida, co ziemię mierzył”. Jest i Hipokrates, skromny, służący pomocą. Są oczywiście filozofowie:

„Wyżej zaś oczom znalazłszy oparcie – czytamy – mistrza ujrzałem onych, którzy wiedzą, okolonego uczeni gronem zwarcie. Wszyscy go wielbią, wszyscy okiem śledzą, przy nim, widziałem, Plato z Sokratesem na pierwszym miejscu przed innymi siedzą”

(Dante, *Boska komedia*, tł. A. Świdorska, Kęty 1999, *Pieśń czwarta*)

„Mistrz” to Arystoteles; w piekle panuje tłok. Cóż, to było dawno, dawno temu. Dziś działają inne już moce, uczeni mogą odetchnąć z ulgą. Obserwując zapał, z jakim przystąpili do dzieła reformatorzy nauki, można nawet odnieść wrażenie, iż raj powstanie już wkrótce na ziemi. Rzeczy doskonałych nie można już oczywiście udoskonalić, ale zanim przekroczymy progi raju, jest jeszcze coś do zrobienia. Spróbujmy więc pomyśleć – na czym, tak naprawdę, powinno nam zależeć? Bywa przecież tak czasami, że najbardziej nieszczęśliwi stają się ci, których próbowano uszczęśliwić.

Moje uwagi dotyczyć będą kwestii bardzo ogólnych. Wspominając o reformach, nie zamierzam poddawać ocenie praktycznych rozwiązań, które przesądziły o ich kształcie. Mam na myśli coś innego – intencje i zasady, które usprawiedliwiały surową krytykę istniejącego (anachronicznego, jak przyjmowano) systemu praktyk naukowych i nadały ton ambitnym zamierzeniom. Reformy, z którymi mamy do czynienia, są wyrazem tendencji wykraczających zdecydowanie poza ramy prozaicznie rozumianej reorganizacji życia naukowego. Zawarta była w nich pewna „idea”. Miały na celu rekonstrukcję kodu symbolicznego, sytuującego naukę w systemie praktyk społecznych, określającego jej pozycję i powołanie. Narzuciły zatem swój własny „słownik”, nową strategię ocen i nowe reguły myślenia. I właśnie to jest najciekawsze, najważniejsze i w końcu najbardziej niepokojące.

W pierwszym rzędzie reformie ulec miał zatem sam sposób myślenia. Reforma stwarza swój własny *logos*, ma bardzo mocne przesłanie. Zakłada nową alokację kapitału symbolicznego, redystrybucję symboli prestiżu i powagi, odwrócenie znaków wartości. Wytworzenie nowych mechanizmów identyfikacji, które mogłyby przeobrazić zastane wzorce tożsamości oraz istniejące interpretacje sensu praktyk naukowych. Ostatecznie zaś stworzyć wyraźną granicę oddzielającą to, co „stare”, i to, co „nowe” (pojawily się nawet rozwiązania prawne, przykładem może być ustawa o PAN, narzucająca swoiste reguły dyskryminacji związanej z wiekiem). Równolegle przystępowano do tworzenia nowego systemu instytucji, narzucającego jako wymóg podstawowy zasadę efektywności. Reforma przemówić musiała językiem „egzorcyzmów”. Piętnowanie złych nawyków, tworzących balast zagrażający efektywności, stało się regułą. Rzeczą bardzo interesującą jest kariera nowego języka, akcentującego radykalizm i rozmach zaplanowanych przemian. A więc słowa, słowa – efektywność, ekscelencja, modernizacja, dorównywanie, całe wysilone nowatorstwo „syllabusów”... Wystarczy, już wiemy. Jest to język zmiany, sugerujący zerwanie z przeszłością, usunięcie wszystkich „anachronizmów”, utrzymujących polskie środowiska naukowe na peryferiach świata nauki. To właśnie powinno się zmienić. Reformę nauki usytuowano w ramach projektu cywilizacyjnej przemiany. Wpleciono ją w tryby wielkiej historii. Kiedyś czytaliśmy znaną pracę Karla Poppera *Spoleczeństwo otwarte i jego wrogowie*. Jej autor, przeciwstawiając „inżynierii utopijnej” inżynierię „cząstkową”, sugerował, iż wielkie projekty z zasady naruszają rygory racjonalności krytycznej, sytuując się po stronie wizjonerstwa. Ilekroć ocieram się o strofy wzniosłych deklaracji, przepojonych blaskiem nowego języka, zastanawiam się, jaką drogą właściwie idziemy. Jakie skutki wywołać może polityka „wielkiego skoku”? Czy na wyżynach „naukowej ekscelencji” będzie miejsce dla tych, którzy nie pokłonili się „Dobrej Nowinie” zawartej w „newsletterach”?

Zostawmy jednak spekulacje, spróbujmy zająć się konkretnymi. Chciałbym przedstawić kilka uwag dotyczących humanistyki, podejmując kwestie o znaczeniu zasadniczym. Skupiając uwagę na nieporozumieniach, które pozwalają widzieć w deprecjonowaniu ważnych doświadczeń zbawienne „egzorcyzmy”.

Zacząć wypada oczywiście od problemu „efektywności”; to właśnie idea efektywności stała się ziarnem, z którego wykiełkowało nowe „drzewo wiadomości”. Samo słowo nie musi oczywiście budzić trwogi – dlaczego właściwie mielibyśmy obawiać się efektywności? Wszystko staje się jasne (i groźne) wtedy wszakże, gdy uświadomimy sobie, iż chodzi tu o „efektywność” pojmowaną zgodnie z regułami procesów „wytwarzania”. Wiedza ma być traktowana jako „produkt”, oto *dictum* nowych czasów. Programy uczelniane – o ile poddaliśmy się już egzorcyzmom – należy przedstawiać jako „produkty edukacyjne”. Stajemy się „producentami”. Czy można myśleć o tym bez obaw?

7 listopada odbyło się zebranie plenarne Wydziału I Nauk Humanistycznych i Społecznych PAN. W dużej mierze poświęcone ono było dyskusji związanej z wątpliwościami

mi i obiekcjami, które przedstawiciele nauk humanistycznych i nauk społecznych przeciwstawiają dziś, coraz częściej, oficjalnemu optymizmowi. Przedstawiając swoje obserwacje, chciałbym dołączyć do tej dyskusji.

Chcę skupić uwagę na kwestiach dość oczywistych, ważnych wszakże na tyle, iż ich podkreślenie nie może oznaczać – jak przyjmuję – straty czasu. Dziś akurat, co więcej, można odnieść wrażenie, że są one nader często usuwane w cień, niedoceniane.

Rzecz pierwsza i najważniejsza – narodziny i rozwój nauki związane są z dokonaniem, których sens zawiera się w pojęciu prawdy. Cały autorytet wiedzy naukowej w nim właśnie znajduje swoje oparcie. Znamiennym rysem sytuacji, w której znaleźliśmy się dzisiaj, jest stopniowe rugowanie *ethosu* prawdy przez *ethos* użyteczności. Uczni stają w obliczu wymagań związanych z wąsko ujmowanymi miernikami przydatności (opłacalność, efektywność, praktyczny pożytek, zgodność z oczekiwaniami rynku). Przyjęcie poglądu, iż powinny one odgrywać rozstrzygającą rolę, prowadzić musi do poważnych i groźnych nieporozumień; na dłuższą metę zagrażać może fundamentalnym interesom środowiska uczonych (nie tylko humanistów), podważając priorytety związane z wolnością badań.

Uczni muszą z najwyższą uwagą i troską odnosić się do wymagań i oczekiwań społeczeństwa. Polityka naukowa nie może wszakże stać się jedynym systemem reguł określających ich pozycję. Misja nauk humanistycznych i społecznych wykracza daleko poza horyzonty polityki naukowej, definiowanej zawsze zgodnie z oczekiwaniami i upodobaniami chwili. Odrzucenie tego punktu widzenia oznaczałoby skrajne upolitycznienie nauki. Prymat polityki naukowej, rozumianej jako zarządzanie potencjałem wiedzy, prowadzi na co dzień do uciążliwej i bardzo niebezpiecznej biurokratyzacji praktyk naukowych. Polityka naukowa powinna być traktowana wyłącznie jako jeden z drogowskazów.

Humanistyka i nauki społeczne to dziedzina odrębna i specyficzna. Jej losy związane są z losami kultury, z afirmacją wartości, których nie można traktować instrumentalnie, wartości mających wagę fundamentalną, niezależnie od wszelkich pożytków, które można z nimi wiązać (wolność, prawda, piękno, bezinteresowne dążenia poznawcze). Przykładanie miary użyteczności do rezultatów dokonań związanych z domeną humanistyki nie zawsze przynosić musi przekonujące rezultaty. Często tworzyć może fałszywy obraz. Wiedza związana z rozwojem humanistyki ma po prostu wartość samoistną.

Model praktyk naukowych, który mamy na myśli, mówiąc dziś o „społeczeństwie opartym na wiedzy”, tkwi swymi korzeniami w kulturze Oświecenia. Zachowajmy więc w pamięci ważne *memento*. Formułując swój imperatyw kategoryczny Immanuel Kant wywodził – „Postępuj tak, byś człowieczeństwa, tak w swej osobie, jako też osobie każdego innego używał zawsze zarazem jako celu, nigdy tylko jako środka”. (I. Kant, *Uzasadnienie metafizyki moralności*, Warszawa 1984, s. 62). „Człowieczeństwo” to także, w jak największej mierze, wiedza o człowieku, to interpretacje tworzące obraz, który

w symbolicznym skrócie wyraża formuła – *conditio humana*. Te interpretacje ostatecznie stać się mogą i muszą narzędziem pewnych praktyk. Pamiętajmy jednak, bo właśnie to jest najważniejsze – w samym punkcie wyjścia nasze poznanie ma być celem, a nie środkiem wiodącym do celu. Nie należy więc przyjmować żadnych założeń pozwalających traktować je w sposób instrumentalny; w żadnej mierze nie wolno nam uznawać nadrzędnej roli reguł użyteczności. Staje się to niestety faktem wtedy, gdy przyjmujemy, iż o przydatności wiedzy (a więc o losach nauki) powinny w pierwszym rzędzie decydować wymagania „rynku”, „gospodarki” czy też „programów ramowych”. Te wymagania są ważne, bardzo ważne, ale nie od nich należy wszystko zaczynać. Zacytujmy raz jeszcze Kanta – „Wszelkie przedmioty [ku którym kierują się nasze] skłonności mają tylko wartość warunkową. Gdyby bowiem skłonności i oparte na nich potrzeby nie istniały, to przedmioty ich byłyby bez wartości” (tamże, s. 61).

Punktem odniesienia w ocenie humanistyki nie może stać się zatem żaden system wąsko rozumianych celów podporządkowanych logice użyteczności, związanych z modelem wytwarzania. Musimy bowiem pamiętać, iż zasady użyteczności i przydatności definiowane są zawsze zgodnie z przekonaniami i upodobaniami, które nie wykraczają poza pewien kontekst historyczny.

Stawiane są nam często za wzór przykłady amerykańskie. Politycy, dziennikarze, ukształtowali w ten sposób swoją strategię zawstydzania. Nabiera to szczególnej wagi zwłaszcza wtedy, gdy pojawia się temat „rankingów”, ekscytujących ustaleń, które podporządkowują obraz nauki logice widowiska sportowego. Rzecz jest oczywista – najlepsze uniwersytety, najznakomitsze osiągnięcia, prestiż i sława. To prawda, nie ma powodu, by spierać się o fakty. Przyłączając się do pochodu, ja również odwołam się do amerykańskiego przykładu, prezentując stanowisko znanej autorki Marthy Nussbaum. Nie tak dawno temu, w 2010 roku, ukazała się jej interesująca praca, poświęcona w bardzo wielkiej mierze kwestiom, które tu podejmujemy. Sam tytuł wyjaśnia prawie wszystko – *Not for Profit. Why Democracy Needs the Humanities*. Jak widzimy, w tytule zawarte są dwie mocno sformułowane tezy. Pierwsza z nich sytuuje się na linii zaprezentowanych wyżej wywodów – to nie zyski decydować powinny o tworzeniu i dystrybucji wiedzy związanej z domeną humanistyki. W społeczeństwie owładniętym manią zysku, składającym hołdy idolom „rynku”, przeżywającym ekstazy związane z obsesją „urynkowienia”, humanistyka znalazła się pod bardzo silną presją. Jest usuwana w cień bądź też stawiana wobec wymagań, które zasadniczo zmienić musiałyby jej charakter. Nie należy się temu poddawać, przekonuje Nussbaum. Humanistyka jest bardzo potrzebna – i to jest właśnie druga ważna teza. Demokracja, jak twierdzi amerykańska autorka, nie jest w stanie się bez niej obejść.

Na razie jest nie najlepiej. Mamy do czynienia z przebiegającym bezgłośnie kryzysem. *The Silent Crisis* – oto lapidarna diagnoza (M. Nussbaum, *Not for Profit. Why*

Democracy Needs the Humanities, Princeton University Press, Princeton and Oxford, 2010, s. 1-11). Nie słyszymy lamentów ani odgłosu werbli. Jest cicho. W tej ciszy ziemia usuwa nam się spod nóg. Kryzysu, z którym mamy do czynienia, nie zauważamy – sugeruje Nussbaum. Rozwija się on „w dużej mierze niepostrzeżenie, tak jak rak” (tamże, s. 1). Problem polega na pogłębiających się dysproporcjach. „Motyw zysku – pisze Nussbaum – sugeruje wielu zatroskanym liderom, iż kluczowe znaczenie dla przyszłości i właściwej kondycji ich społeczeństw mają nauka (*science*) i technika” (tamże, s. 7). Zupełnie nie zastanawiają się nad tym, jaką rolę odgrywać mogą „zdolności powiązane z humanistyką i dziedziną sztuki” (tamże). Jeszcze jeden, ostatni już, krótki cytat – dziś „rodzice dumni są z dziecka, które podejmuje studia w Instytucie Technologii i Zarządzania, a wstydzą się z powodu tego, które studiuje literaturę lub filozofię, bądź też pragnie malować, tańczyć albo śpiewać” (s. 23).

Nie jest to sytuacja związana z chciwością, modą czy też triumfem neoliberalnego wyznania wiary. Kryzys ma głęboko ukryte korzenie, jest związany z uwarunkowaniami, które pozwalają mówić o destrukcji systemu wartości sprzyjającego kultywowaniu tradycji humanistycznej. Z wyjątkową przenikliwością kwestię tę wyjaśniał Martin Heidegger. Heideggerowski tekst *Przewyciężenie metafizyki* pozwala dotrzeć do sedna rzeczy. Żyjemy w świecie zdominowanym przez wpływy techniki. Związane z tym serwityuty mają nieubłagany charakter. Znaleźliśmy się dziś – konstatuje Heidegger – w fazie „przewyciężenia metafizyki” (M. Heidegger, *Odczyty i rozprawy*, Warszawa 2007, s. 77). Oznacza to narodziny porządku, który nie potrzebuje już filozofii (mówiąc inaczej, namysłu umożliwiającego kwestionowanie tego, co określa podstawy). „Filozofia – pisze Heidegger – pada łupem potomków metafizyki tj. fizyki” (tamże, s. 81). „Myślimy bycie – dodaje autor *Przewyciężenia metafizyki* – jako przedmiotowość” (tamże, s. 81). W tym systemie myślenia spełniają się wszelkie nasze intencje. Celem głównym staje się sprawne „urządzenie bytu” w dziedzinie przedmiotowości. Technika staje się mocą nadrzędną, to ona decyduje o kształcie świata. Z tej sytuacji nie ma już wyjścia. Zacytujmy raz jeszcze Heideggera – „Technika jako najwyższa forma racjonalnej świadomości technicznie zinterpretowanej oraz brak namysłu, jako urządzona, zamknięta tym brakiem namysłu niezdolność do tego, by wejść w związek z tym, co godne pytania, należą do siebie nawzajem: są tym samym” (tamże, s. 81). Nie ma już zatem „rzeczy godnych pytania”. Wszystko zostało rozstrzygnięte. Liczy się tylko zdolność „urządzenia bytu”, czyli oczywiście, zdolność „wytwarzania”.

Najtrafniejsze nawet diagnozy nie mają, na szczęście, charakteru bezapelacyjnego werdyktu. Poza tym jest jeszcze demokracja. Od czasów Platona wiemy, iż oznacza ona nieustanne spory i perturbacje. Zamęt, w którym wszystko może zmienić swój kształt. Wróćmy zatem do amerykańskiej autorki i do jej tezy. Dlaczego demokracji potrzebna jest humanistyka? Komplikując obraz świata, nie chroni nas ona z pewnością przed

zamętem, chroni wszakże przed zgubną jednostronnością, za sprawą której łatwo znaleźć się można w ślepej uliczce.

Przywoływany już wyżej Popper zastąpił pojęcie demokracji pojęciem „społeczeństwa otwartego”. Przekonywał nas, iż uczestniczymy w wielkim eksperymencie, który zainicjowali ongiś Grecy. Nasze losy nie są przesądzone. Demokracja oznacza nie tyle „rządy ludu”, ile „państwo, w którym ludzie nie są rządzani w despotyczny sposób”. (K. Popper, *Społeczeństwo otwarte i jego wrogowie. Przedmowa do czytelnika polskiego*, Warszawa 2007, t. 1, s. XII). A zatem wolność. Taki ostatecznie sens ma „otwartość”, wykluczająca plemienną jednostronność. Dziś na przykład może ona przybrać postać – pozwólmy sobie na taką sugestię – „plemiennej” pieśni utylitarystów.

Potrzebne jest więc antidotum na niebezpieczne pokusy jednostronności. O tym właśnie myśli Nussbaum, o tym pisał Popper. W swej pracy przypominał, iż demokratyczne Ateny stały się sceną, na której święcili swe triumfy ludzie „Wielkiego Pokolenia”. Filozofowie, artyści, poeci, mężowie stanu. Konserwatyści tacy, jak „Sofokles i Tukidydes (...) Ludzie wahający się, jak Eurypides, lub sceptycy, jak Arystofanes” (Popper, op. cit., s. 235). Obok chwalczy – Peryklesa, obrazoburca Protagoras. Różne charaktery, najrozmaitsze poglądy, drogi, które rozchodzą się nieustannie w wielu kierunkach. A jednak wciąż podziwiamy dokonania „Wielkiego Pokolenia”. Może więc humaniści, którzy nie potrafią „utrzymać kroku”, idąc w zwartych szeregach, są jednak do czegoś potrzebni? Może nie domagajmy się zbyt stanowczo, by uczestniczyli w wielkim czynie „wytwarzania”; pozorny bezład nie musi wcale być jałowy, dyscyplina celów nie zawsze przynosi oczekiwane dobrodziejstwa.

Przed czym ostatecznie chronić powinien nas rozwój szeroko rozumianej wiedzy humanistycznej? Według Poppera są dwa monstra, którym powinniśmy przyglądać się zawsze ze szczególną uwagą – „mizologia” (wstręt do racjonalnej argumentacji) i „mizantropia” (*Społeczeństwo otwarte i jego wrogowie*, op. cit., s. 236 i 254). Patronem humanistów jest Sokrates, który „uczył, że trzeba wierzyć w rozum ludzki, wystrzegając się dogmatyzmu i mizologii” (tamże, s. 236). „Plemienne” zadufanie jest oczywiście naturalnym sprzymierzeńcem mizantropii.

Popper, powie ktoś, to stare dzieje. Jego koncepcję „otwartości” krytykowano, nie bez racji sugerując, iż trudno sobie wyobrazić człowieka w pustce; zawsze jesteśmy jakoś uwarunkowani. To prawda, pamiętajmy wszakże, iż koncepcja „otwartości” nie powinna być traktowana z żenującą dosłownością. Jest to pewna idea regulatywna, a nie naiwnie rozumiany opis. Kończąc Popperowskie reminiscencje, chciałbym zaznaczyć, iż Martha Nussbaum poświęca problemom „sokratejskiej pedagogii” cały rozdział (*Not for Profit*, op. cit., s. 47-77).

Siłą humanistyki jest więc swoiste niezdecydowanie, zmuszające do nieustannego rewidowania przekonań, wykluczające pochopne konkluzje. Nie powinno być ono wszak-

że traktowane jako zagrożenie. Przeciwnie, przyczynia się do tworzenia zasobów, które określamy dziś chętnie mianem kapitału kulturowego. Zasoby te związane są z kształtowaniem intelektualnych zdolności i komunikacyjnych więzi, bez których trudno byłoby mówić o rozwoju. Czy sokratejską dialektykę, mądrość splatającą niewiedzę z wiedzą i wiedzę z niewiedzą, można „sparametryzować”? Czy można sprzedawać coś, co wciąż wymyka nam się z rąk? Czy mądrość jest na sprzedaż, czy można na niej zarabiać?

Mamy tu oczywiście do czynienia z poważnymi dylematami. Nie chciałbym przesadzić sugerując, iż istnieją wyżyny niepokalanej wzniosłości, na których królują „prawdziwe” (bezinteresowne) nauki humanistyczne. Byłoby to żałosne i naiwne. Chodzi jedynie o zachowanie pewnego umiaru, którego zabrakło w ferworze reform narzucających entuzjastyczną jednostronność – wszechogarniającą regułą bezpośrednio dowiedzionej (i sparametryzowanej) korzyści. Rozwój badań naukowych to dziedzina, w której nie znajdują zastosowania instrumentalnie rozumiane, sprowadzone na dodatek do roli ideologicznych schematów, modele racjonalności związanej z produkcją i handlem. Narzucenie języka, stawiającego na pierwszym miejscu pojęcie „produktu”, powodować musi wiele groźnych nieporozumień, źle wróżących przyszłości nauki i związanych z nią systemów edukacyjnych.

Pokusy istniały zawsze. Już sofiści próbowali zarabiać na swych umiejętnościach, pobierając opłaty za nauki, których udzielali. Wywoływało to zgorzenie, o czym informuje nas w *Żywotach i poglądach słynnych filozofów* Diogenes Laertios. Idea wiedzy traktowanej jako „produkt” została wyśmiana przez Sokratesa. „Dobrze by to było, mój Agatonie – kpił Sokrates – gdyby się to tak można zetknąć i przelewać mądrość z pełniejszego do bardziej próżnego z nas dwóch, tak jak to woda przepływa po wełnie z pełniejszego kieliszka do mniej pełnego” (Platon, *Uczta, Eutyfron, Obrona Sokratesa, Krypton, Fedon*, Warszawa 1982, s. 57). Byłoby wspaniale. Tak z pewnością pomyśleli twórcy reform, wprowadzając do swojego Kanonu Wielkich Nadziei koncepcję „produktu edukacyjnego”. A może jednak akademickie kształcenie ma trochę inny charakter? Może chodzi tu nie tylko o „dostarczenie” wiedzy. No cóż, pewnie jest to anachroniczne gadulstwo. Egzorcyci muszą zachować czujność.

Na końcu jeszcze dwa słowa o duchu przekory, a więc właściwie o krytyce. „Každy odważny umysł jest bezlitosny i cyniczny, zawsze wątpi i zawsze szydzi” (E. Cioran, *Brewiarz zwyciężonych*, Warszawa 2004, s. 52). A zatem, naprzód. Właśnie w epoce demokracji pochwała krytyki i przekory nabiera szczególnej wagi. Dlaczego? Odpowiedzi, ograniczając się do symbolicznego skrótu, poszukajmy u obserwatora, któremu nikt nie odmówi przenikliwości – u Alexisa de Tocqueville’a. W epoce demokracji, jak uważał Tocqueville, rolę decydującą odgrywają, niestety, skłonności pochlebne. (Jest to epoka „nadętych bożyszcz”, jak powie złośliwy Nietzsche). Schlebiamy sobie, schlebiamy innym, oczekujemy pochlebstw. Kształtu nabiera etykieta pochlebności. Z czasem zyska

swe wykwintne imię – *political correctness*. Wszyscy musimy być w porządku wobec wszystkich. Tocqueville obserwował początki. „Molier – zaznaczył – krytykował dwór w sztukach, które przed nim wystawiał”, ale w demokratycznej Ameryce, „niezależnie od sławy, jaką się cieszy, żaden pisarz nie może uniknąć obowiązku kadzenia swym współobywatelom. Większość żyje więc w nieustannym uwielbieniu samej siebie” (A. de Tocqueville, *O demokracji w Ameryce*, Kraków – Warszawa 1996, t. 1, s. 262). Ogół stał się najpotężniejszym z „bożyszcz”. Powołując się na „interes większości”, czy też na „święte prawa” podatników, którzy muszą wiedzieć, co dzieje się z ich pieniędzmi, można dziś, bez wysiłku, uprawiać politykę egzorcyzmów i zawstydzania.

W jakim kierunku prowadzą nas te obserwacje? Humanistyka jako schizma? Taki mamy obrać kierunek? Ależ nie, nie chcę sugerować zbyt wiele. Chodzi po prostu o potwierdzenie rzeczy dość oczywistych – o swobodę badań naukowych, o obronę *ethosu* wolności. A zresztą, słowo „schizma” też nie jest takie straszne. Refleksja związana z humanistyką nabiera swej wagi właśnie dzięki cnotie nieposłuszeństwa. Dzięki sile niepokornych talentów, które nie przystępują do paktu przeciętności. Tak postępują najwięksi, ale to właśnie z nich musimy brać przykład. I z pewnością dotyczy to nie tylko humanistyki.

A więc, ostatecznie, po co cały ten cały rwetes? Czy nie przesadzam? Na wszelki wypadek, odpowiem. Przelewałem atrament, gdyż dręczy mnie czasami myśl dość okropna, iż w którymś z kolejnych „programów ramowych” okazać się może, iż humanistyka to problemy melioracji i zdrowej żywności. Zanim zbierze się orszak żałobny, będzie już po wszystkim.

Exorcisms and the dream of fame.

A few remarks of the humanities representative overwhelmed with doubts

The article offers a bird's-eye view on the program of reforms in science and university education, which have recently been implemented in Poland, in expectation to start a process of a far-reaching modernization. It attempts to identify and highlight a challenging message underpinning a whole concept of the reform; its deep radicalism is revealed and accentuated. The reform was conceived as a large-scale relocation of symbolical capital, creating new resources of influence and prestige, and changing the principles of self-identification in the *milieu* of scientists, by juxtaposing the old and the new “regime”, and creating the aura of a great promise and expectations – promoting the vision of a Great Leap to the kingdom of opportunity. By stressing the fundamental role of a competition based efficiency, it was trying to connect science to the experience of market economy. The article is focused on serious doubts that must arise, in this perspective, when a peculiar character of the humanities is taken into consideration. It is intended to confront the “politics of putting to shame”, designed to boost the triumphant message of the reformers.

Key words: science, reform, humanities, efficiency, radicalism, market-oriented thinking, competition